

# dodatek • ABC • niedzielny małucha-literatura-sztuka

Jerzy Stokowski

## Nie „Sztuka dla Sztuki” a malarstwo związane z życiem Rozmowa z Janem Zamoyskim

Trudno bodaj o większy paradoks — są malarze, którzy uznają wystawę za coś co się stanowi już przeżywa. Można by powiedzieć więcej: muszą już być malarze, którzy dążą do przeniesienia punktu ciężkości w plastyce z wystaw w różne dziedziny życia bezpośredniego.

Bo z jednej strony nie ma chyba sytuacji bardziej oderwanej od realnego życia niż wystawa, a z drugiej nie ma bodaj sytuacji,

chom i monumentom formę i wyraz plastyczny. I stąd wypływa cały jego stosunek do tych zagadnień a współpraca malarza, rzeźbiarza i architekta okazuje się koniecznością.

Architekt nie może traktować malarstwa i rzeźby tak, jakby to było coś co jest tylko dodatkiem do architektury. Rzeźba i malarstwo powinny stać się częścią składową architektury, bo to pozwala im w jaknajszerszym stop-

niem jest „Sztuka dla sztuki”. Trzeba, abyśmy wyrwali się z dotychczas obowiązującego szablonu. My możemy jeszcze zapoczątkować nowe malarstwo monumentalne, które zostanie na setki lat, gdzie perspektywa długotrwałości zmusi nas do wysiłku i wydobędzie z nas taką siłę, że obcy będą przyjeżdżali, aby obejrzeć to, co my u siebie tworzymy.

Nie powinniśmy czekać, aż te prądy, które nas nurtują, przyjdą do nas jako rewelacja z zagranicy, a my utartym zwyczajem będziemy podążać Europę.

\*\*\*

Jan Zamoyski wyszedł z pierwszej klasy prof. T. Pruszkowskiego. Jest członkiem i prezesem „Bractwa św. Łukasza”. Jest jednym z pierwszych przedstawicieli „Ars Christiana” i idei jaką „Ars Christiana” reprezentuje.

Zamoyski jest w środowisku, które dużą uwagę zwróciło na kulturę rzemiosła malarskiego i na solidny stosunek malarza do pracy. Wynika to i z dużego poczucia odpowiedzialności za całą

działalność i doceniania zagadnień technicznych.

Zamoyski nie zgadza się z tym, aby można było żyć w atmosferze banału i bezwyrzitości i jednocześnie uprawiać sztukę, w całkowitym oderwaniu od tego, co nas otacza.

Nie chciałby, aby brzydkie domy i brzydkie wnętrza były zbiorami nawet pięknych dzieł sztuki, ale, żeby dobra plastyka była częścią samego wnętrza. Bo to wszystko co nas otacza świadczy właśnie o prawdziwej kulturze i prawdziwym poziomie.

Ostatnio Jan Zamoyski wraz z Bolesławem Cybisem malował olbrzymi fresk w Wojskowym Instytucie Geograficznym w Warszawie.

Fresk prezentuje moment wyznaczania granic przez Bolesława Chrobrego. Malarze nie mając na naszym terenie nic na czym by mogli się wzorować, jeżeli chodzi o zagadnienia związane z pracą freskową na świeżym tynku, do wszystkiego musieli dojść własnymi studiami i doświadczeniem.

Obecnie ci sami artyści wykonują plątony w dużej sali polskiej w Gdańsku.

Zygmunt Jpohorski

## Pierwszy śnieg

Powiał wiatr,  
powiał wiatr,  
o ziem prasnął liści złotem,  
bagny przeskoczył z chichotem,  
stuknął w szyby wiejskich chat  
Chłodny wiatr,  
jesienny wiatr,  
na drzemiące pola wpadł.  
Porozrzucił polne róże,  
pola szarym pokrył kurzem  
i dalej pogonił w świat.  
... a w nocy spadł pierwszy śnieg.  
Pokrył szarą, żółtą zielenią,  
pasmami świeżych rozbieleni  
na uśpionej ziemi legł.  
... pierwszy śnieg.

Jerzy Kiewnicz

## Modlitwy

Nie wam mówić modlitwy  
ludzie z kamiennych wukusów  
pomniki,  
które czas kruszy.  
Nie wam,  
którzy rzucacie gromy polemik  
hasła na przetarg,  
lecz tym  
co słyszą — zboże śpiewa  
w czerwcu,  
co przywarci do ziemi  
Polskę noszą nie w gazetach,  
lecz w sercach.



Matka Boska Różańcowa

Jan Zamoyski

(fragment)

bardziej niż wystawa demoralizująca.

Malarz opierając swój byt na wystawowej sprzedaży obrazów, gdzie kupują snobi, mecenasi i niewielki procent „normalnej” publiczności musi mieć do poczucia, że jego praca jest luksusem i przyjemnością dla samej przyjemności. Dlatego mniejszy akcent kładąc na trwałość i w wieloletnich wypadkach sili się na oryginalność. Po prostu dlatego, aby być z pośród innych zauważony.

Dlatego, nie widzi w życiu ustalonego dla siebie miejsca i dlatego siłą rzeczy musi ograniczać się do kontemplacji kilkudziesięciu centymetrów kwadratowych płótna lub papieru, gdzie daje błyskotliwe, a może czasem i głębsze zestawienie kolorów i form geometrycznych.

Farby mają to do siebie, że po odwołaniu zagadnień technicznych na plan dalszy, bardzo szybko tracą kolor i całą barwną kompozycję, która była kwestią podstawową, już po krótkim czasie całkowicie przestaje być aktualna.

To dla artystów musiało być tragedią i nie dziwnego, że dzisiaj w epoce harmoniczności życia społecznego, gdzie każdy człowiek w hierarchii narodowej ma ustaloną pozycję i ustalone obowiązki, artyści zaczęli szukać odpowiedzi na pytanie, jaka rola im w udziale przypada.

Zamoyski mówi:  
Robi się obecnie u nas cały szereg rzeczy, które będą świadczyły o naszej epoce i o naszych możliwościach. Artysta nie może przeżyć obok tego obojętnie, powołując się na to, aby nadać tym wszystkim budującym się gma-

niu odgrywać swoją rolę społeczną i jednocześnie przyczyniać się do pogłębiania sztuki. W tych warunkach malarstwo nie jest tylko prywatną przygodą, a staje się niesłychanie ważnym czynnikiem społecznym, prywatną przygodą, a staje się niesłychanie ważnym czynnikiem społecznym, który dociera dosłownie do wszystkich.

Plastyka, jako wyraz epoki, ma bodaj największe znaczenie spośród dokumentów. Naprzykład król Stanisław August jest dziś znacznie popularniejszy, niż Batory, Władysław IV, czy Zygmunt III, bo po prostu na każdym kroku natykamy się na te rzeczy, które po sobie zostawił, właśnie w dziedzinie plastyki.

Oczywiście związanie sztuk plastycznych z życiem wymaga gruntownej reformy i szkolnictwa artystycznego i dużej zmiany warunków. I jeżeli obecnie zjawia się jako hasło powiązanie sztuki z życiem przez zespolenie jej z architekturą, to niewątpliwie z czasem okaże się koniecznością to, co już zrobiono na innym terenie, aby w kosztorysie budynków pewien procent przymusowo przeznaczyć ustawą na danie budynkowi jakiegoś wyrazu plastycznego. Przez to skorzysta i t. zw. szary człowiek i sama sztuka, która nabierze rumieńców.

Ustawowe określenie procentu na plastykę, to jest jedna droga, a inna, czysto wewnętrzna to zmiana naszej psychiki i ostateczne pogrzebanie aspołecznego hasła „Sztuka dla sztuki”.

Jesteśmy w tym okresie kiedy nie tylko w Polsce, ale na całym świecie, z małymi wyjątkami, dominuje malarstwo, którego ha-

Stanisław Grzelecki

## Ambicja, praca i coś jeszcze Malicka i Sawan mówią o teatrze

Otwierają się drzwi garderoby, na progu staje uśmiechnięta Malicka z filiżanką czarnej kawy w ręku. Z miękkich foteli, z poduszek, spod sofki wyskakują cztery długowłose, białe jak mleko, o czarnych ślepkach terriery i z radosnym piskiem otaczają swą panią. Okrągły ruch ręki: — Moi ulubieńcy — powiada Malicka. Pieski są rzeczywiście sympatyczne. Jeden z nich, Trajan, wdrapuje się na moje kolana i przyjaźnie mruga ślepkami. Natomiast siedzący na fotelu obok stworzenie spogląda wyraźnie niezadowolony: — „Księżniczka” — jest trochę zarozumiała — tłumaczy artystka.

Zaczynamy mówić o teatrze. — W tej chwili występuję jako Candida — śmieje się Malicka.

Odbijają się własne próby „Candidy” Shaw’a. Wprawdzie „Maria Stuart” dopiero niedawno weszła na afisz, ale w teatrze Malickiej o następnej sztuce myśli się już podczas aktualnej premiery, dlatego też sztuki są zawsze przygotowane starannie.

— Co skłoniło panią do wystawienia „Marii Stuart”?

— Tesknota za wielkim repertuarem. Chcieliśmy też pokazać, że można grać rzeczy wartościowe nawet przy skromnych środkach, jeśli tylko jest dobra wola. Po „Marii Stuart” grać będziemy „Candidę” Shaw’a, potem damy „Hamleta”, potem jest w planie sztuka młodego autora polskiego...

— „Hamleta” zapowiedział już teatr Polski.

— Tak. Myślę jednak, że tego rodzaju arcydzieła mogą grać jednocześnie dwa teatry. Porównanie może nawet być bardzo ciekawe.

— Chciałbym wiedzieć w czym leży tajemnica sympatii, jaką darzy Warszawa teatr pani.

— Myślę, że nie ma tu żadnej tajemnicy. Po prostu pracujemy i mamy ambicję...

— I jeszcze coś — dodaję. — Zdolności.

W garderobie zjawia się Sawan. Rozmowa potrąca o zasadnicze zagadnienia teatru.

— Trudno mi mówić — powiada Sawan — o jakiejś zasadniczej, z góry wytkniętej linii re-

pertuarowej naszego teatru. Musimy dostosowywać się do potrzeb chwili, musimy trzymać rękę na pulsie życia kulturalnego...

— Czy sądzi pan, że ten „puls” jest normalny, zdrowy?

— Oczywiście nie. Teatry warszawskie w ogóle nie pracują normalnie. Teatry prywatne robią, co mogą, ale trudno im iść par force przeciwstawieniu teatrów T. K. K. T., które, zamiast nadawać ton życiu teatralnemu stolicy, dezorganizują je raczej. Nie posiadają określonego, zróżnicowanego charakteru i nie wychowują publiczności. Skoki repertuarowe od „Jadzi wdowy” do „Gałązki rozmarynu” są nader ryzykowne. W Warszawie może istnieć teatr „bulwarowy” z repertuarem w stylu „Jadzi wdowy”, ale musi też być teatr poświęcony wielkiemu repertuariowi — takim powinien być teatr Narodowy. Rozporządza on sceną pomocniczą — teatrem Nowym — która powinna stać otworem dla młodych pisarzy polskich. Teatr Mały powinien być teatrem par excellence literackim.

— Jak pan się zapatruje na stosunek teatru do aktualnych prądów i zagadnień społecznych?

— Teatr powinien bezwzględnie te prądy i zagadnienia odzwierciedlać. Oczywiście nie można wymagać, aby im tylko poświęcał swą działalność, teatr bowiem służy przede wszystkim sztuce, niemniej jednak musi iść z prądem chwili, musi reagować na te przemiany, które w życiu społeczeństw zachodzą. Trzeba przy tym mieć na uwadze sposób i siłę, z jaką teatr do widza przemawia. Jako środek propagandy, może teatr zdziałać nie mało. Staramy się o tym pamiętać przy doborze naszego repertuaru.

— Słyszysz się ciągle narzekania na niedopuszczanie do głosu młodych polskich pisarzy scenicznych...

— I słusznie. Dałoby się o tym wiele powiedzieć. Myślę, że należałoby przyznawać teatrom specjalne subwencje za wystawianie współczesnych sztuk polskich. Ożywiłoby to niewątpliwie naszą twórczość dramatyczną. Nie brak nam talentów, tylko środków. Rozmowa przechodzi z wolna na

tematy bardziej osobiste. Malicka mówi o sobie.

— Od najmłodszych lat marzyłam o teatrze. Pamiętam z tych czasów, że moim najgorętszym pragnieniem było, aby znało mnie dużo ludzi w Krakowie — tam się urodziłam i wychowałam. Kształciłam się w klasztorze S-go Jana w Krakowie, nie przeszkadzało mi to jednak już w szesnastym roku występować okolicznościowo na scenie. Siostry zakonne były dla mnie tak dobre i wyrozumiałe, że nie broniły mi tego. Zresztą z tego samego klasztoru wyszła słynna Modrzejewska, tam również kształciła się Modzelewska.

— Obecnie — mówi Malicka — trzy czwarte naszego życia poświęcamy dla teatru. Pracujemy oboje z mężem z zamiłowaniem, mimo trudności.

— A jakie ma pani zamiłowanie poza teatrem?

— Kawiarni i dancinów nie uznajemy, to też nikt nas w tego rodzaju lokalach nie widuje. Ko-

chamcy oboje więc, ja przepadam za gospodarstwem wiejskim.

— Wyobrażam więc sobie, ile trudu kosztowało panią wczucie się w rolę „mieczaka”.

— W życiu prywatnym — śmieje się Malicka — jak mi się zdaje mieczakiem nie jestem. Lubię pracować, ale lubię nade wszystko spokój wsi. Mamy kompletnie urządzone mieszkanie w Warszawie, ale mieszkamy w domku campingowym w lesie, w Aninie. Jeżdżymy tam autem po przedstawieniu. Sporty i lektura to poza gospodarstwem drugie moje zamiłowanie.

Dochodzi ósma. Malicka musi przygotować się do występu. Pokazuje mi suknię królowej. Bogato wyszyta perłami i rubinami — ciężko zwiisa w ręku. Waży parę kilogramów.

— Jesteśmy bogaci — śmieje się Malicka — te wszystkie „perły” i „rubiny” są naszą własnością, ale też ciężkie to „bogactwo”...



Maria Malicka w roli Marii Stuart